

22. Wyścig taczkami

Zaczął się niewinnie, od zakładu z naszymi panami.

Oni majstrowali coś przy zasuwie ujścia wody ze stawu rybnego, po którym my pływałyśmy łódką. Właśnie ja wiosłowałam i gdy już byliśmy blisko, oni otwarli zasuwę i nie udało mi się dobić z właściwej strony do pomostu. Myślałam, że pękną ze śmiechu, gdy zawróciłam i nie trafiłam po raz drugi. Wtedy koleżanka odebrała mi wiosła i... też nie trafiła. Panowie rechotali na całego, a my nadal nie mogłyśmy sobie poradzić z przeklętym prądem płynącej wody. W końcu krzyknęłam, żeby mój sam spróbował jak taki mądry, a on na to, że jak trafi za pierwszym razem to zawieziemy ich taczkami do domu. No cóż, już po chwili obaj siedzieli w taczkach nie przestając się śmiać.

Pchałyśmy te taczki idąc obok siebie (trawiastymi koleinami po furmankach). Koleżanka zaprawiona w codziennej ciężkiej pracy na wsi szła równym, szybkim krokiem, a ja starałam się jej dorównać do czasu aż nie dostałam zadyszki. Wtedy ona stanęła, żeby "słaba miastowa" odpoczęła. Wiadomo jak to na mnie podziało. Ruszyłam zanim wyrównałam oddech.

No i oczywiście prowokowałam, starałam się iść zawsze ciut przed nią. Ona na początku nie zwracała na to uwagi, ale jak zaczęło się pod górkę i naturalnym odruchem było zwolnić (co też ona robiła), to ja przyspieszyłam. "Chcesz się brać?" usłyszałam z tyłu, a zaraz potem usłyszałam sapanie (ucieszyłam się, że ona też dyszy). Nie biegłyśmy, bo do domu było jeszcze daleko. Był to szybki marsz pod górkę, podczas którego nie dałam się dogonić.

Potem na prostej też się nie dałam, aż zatrzymała mnie niewielka skarpa na drodze.

Taczka odbiła się od niej do tyłu, więc musiałam się cofnąć i pokonać ją biegiem, a koleżanka widząc moje kłopoty rozpędziła się i też biegiem pokonała skarpę. Zostałam dogoniona. Przez pewien czas szłyśmy obok siebie. Spojrzałam na jej naprężone żylaste bicepsy i mocne umięśnione nogi. Bijąca z jej wyglądu i ruchów siła dodatkowo podniecała mnie do wysiłku.

Przyspieszyłam, ale ona nie dała się wyprzedzić. Też była ambitna, bo dogoniła mnie dysząc jak parowóz. Decydująca walka zaczęła się gdy zobaczyłyśmy przed sobą dom. Skończyły się trawiaste koleiny i weszłyśmy na piaszczystą wiejską drogę. Stanęłam. Piasek unieruchomił koło i musiałam się maksymalnie wysilić by ruszyć. Moja rywalka nie stanęła, szarpnęła tak gwałtownie, że wywaliła swojego do piachu. Gdy wskoczył do taczki byłam ze dwa kroki z przodu. Usłyszałam z tyłu stękanie, jej też trudno było ruszyć w piachu.

To był straszliwy wysiłek. Jeszcze 2 razy stawiałam i za każdym razem myślałam, że już nie ruszę. Wtedy ona mnie mijała, na co ja tylko dzięki szalonej ambicji ruszałam, jęcząc i sapiąc okrutnie. Doganiałam ją nadludzkim wysiłkiem. Do dziś pamiętam dłonie zaciśnięte na maxa, by nie wypuścić taczki, mięśnie napięte do bólu i wścieklą wolę walki do upadłego.

Szłam resztkami sił, nogi mi się plątały, ręce drżały ze zmęczenia, a mimo to gdy zaczął się trawiasty dojazd do bramy ruszyłam biegiem. Ona też. Biegła tuż obok. Raz jeszcze zmusiłam się do nadludzkiego wysiłku, gdy wydawało mi się, że przegrywam i obie wpadłyśmy na podwórko. Przewróciłam się i przejechałam nosem po kancie taczki. Leżałam nie mogąc się podnieść. Panowie podbiegli, bo bali się, że straciłam przytomność po uderzeniu o taczkę (nie widzieli, że to tylko otarcie), ale to był efekt skrajnego wyczerpania. Jak się w końcu podniosłam, moja rywalka leżała jeszcze na trawie i odpoczywała.

Usiadłam przy niej i z uznaniem podałam jej rękę. A ona tylko kręciła głową i powtarzała z niedowierzaniem: "słaba miastowa".

I nagle w tej samej chwili obie spytałyśmy panów, która z nas wygrała. Spojrzeli na siebie zdziwieni, że nie wiemy i też prawie równocześnie odpowiedzieli, że ja i to o pół taczki.

Zapomniałam o zmęczeniu i rzuciłam się im po kolei na szyję z całusami, odtąńczyłyśmy coś w rodzaju wojennego tańca Indian, a potem rzuciłam się na ciągle leżącą rywalkę i wycalowałam ją z radości.

A ona tylko kręciła głową z niedowierzaniem...